

Jakub Mrozek

Moja Jabłonka...

Przez duże, wieloskrzydłowe okno wpadały do pokoju ciepłe promienie popołudniowego słońca. Całe wnętrze skąpane było w pastelowych, letnich barwach. Widok ten przypominał baśniową tęczę z ilustracji w dziecięcych książeczkach. Pokój był przestronny i skromnie umeblowany. Wynikało to jednak nie z ubóstwa właściciela, lecz bardziej z umiłowania minimalistycznego wystroju. Najbardziej rzuciła się w oczy stara, dębowa biblioteczka z kilkoma rzędami półek, uginających się pod ciężarem opasłych tomów. Większość wydawała się już stara i wysłużona, jednak pomimo wieku na grzbietach książek nadal wyraźne były pozłacane ornamenty i tytuły, napisane ozdobnym stylem. Obok biblioteczki, naprzeciw okna, stało masywne dębowe biurko wraz z obitym czerwonym aksamitem krzesłem. Na blacie, przykrytym szklaną płytą, leżała sterta dokumentów: listów, rachunków, notatek. W prawym rogu biurka stała mosiężna, kunsztownie wykonana lampka, przypominająca swoim wyglądem polny kwiat. Wpadające przez okno promienie słońca padały prosto na jedną z luźnych kart, leżących w nieładzie. Widniały na niej słowa napisane odręcznym pismem, układające się w tytuł „Moja Jabłonka”. Obok leżało niezamknięte wieczne pióro, z którego kapały krople grafitowego atramentu, tworząc mieniającą się w słońcu plamę.

W rogu pokoju, na starym wytartym już fotelu, drzemał spokojnie mężczyzna. Był on już sędziwy i wyglądał na schorowanego. Przy każdym oddechu z jego ust wydobywał się specyficzny świszczący odgłos, przypominający gwizd parowej lokomotywy, choć nie tak donośny. Miał krótko przystrzyżone, białe jak mleko włosy, zazwyczaj zaczesywane do tyłu, lecz w tym momencie będące w nieładzie. Twarz, poorana wieloma zmarszczkami, zachowała jednak resztki dawnej urody. Szeroka szczeka i orli nos nadawały jej poważnego charakteru. Gęste, również już siwe brwi, zrastały się u podstawy nosa, tworząc łuk nad zmęczonymi oczami. Przez sine, lekko uchylone usta, mężczyzna z wyraźnym trudem łapał każdy oddech. Pomimo

popołudniowego ciepła przykryty był złożonym na pół kocem w szkocką kratę. Na kolanach mężczyzny leżała otwarta, bardzo stara książka.

Wtem ciszę letniego popołudnia przerwało skrzypienie drewnianych desek podłogi. Rozległ się charakterystyczny, metaliczny chrzęst przyciskanej klamki. Drewniane, przeszklone drzwi uchyliły się skrzypiąc lekko i do pokoju wbiegł mały, może 7 – letni chłopiec. Starając się zachowywać jak najciszej, podszedł do fotela, na którym drzemał stary mężczyzna. Malec stanął na palcach i z wielkim trudem wdrapał się na jego kolana. Objął go delikatnie za szyję i delikatnym, trochę piskliwym głosem szeptał mu do ucha:

– Dziadku..., Dziadku Abrahamie... – powtarzał – Obudź się, dziadku Abrahamie ...

Gdy to nie pomagało, chłopiec zaczął z dziecięcą zawziętością lekko szarpać mężczyznę za ramię, wymuszając na nim, aby wstał. Po tych zabiegach staruszek zaczął się powoli przebudzać, co wywołało nieukrywaną radość chłopca. Maluch zeskoczył z kolan mężczyzny, pozwalając mu podnieść się z fotela. Jednak nie przyszło mu to z łatwością. Wiek zrobił swoje. Z trudem dźwigając się z fotela dziadek powiedział do wnuczka:

– Ech... Stary już jestem, Dawidku... Zdrowie już nie to, co kiedyś... Ale radzić sobie trzeba –zakończył mężczyzna, uśmiechając się czule do chłopca.

Podniósł koc, który spadł na ziemię razem z książką, gdy wstawał. Złożył go starannie i położył na fotelu, a książkę postawił obok innych na półce biblioteczki. Abraham poprawił włosy, przeciągnął się leniwie i nieobecny wzrokiem wyjrzał przez okno na nieduży ogród. Widok był naprawdę piękny: dwie sędziwe płaczące wierzby tworzyły baldachim nad rozciągniętym między ich pniami hamakiem, rozłożyste krzewy czerwonych róż tworzyły barwny kontrast dla monotonii drewnianego ogrodu, a równo przystrzyżony trawnik dawał wrażenie ładu. Dopełniając kompozycję lazururowe niebo z kilkoma obłoczkami sprawiało, że całość wyglądała, jak obrazek z wakacyjnej pocztówki.

Po chwili kontemplacji Abraham spojrzał z czułością na swojego wnuczka i z delikatnym uśmiechem na twarzy powiedział:

– Wiesz, co, Dawidku...Sądzę, że powinniśmy wyjść na dwór. Nie można siedzieć w domu, gdy na świecie jest tak pięknie.

Chłopiec nie protestował. Cieszył się, że może spędzić czas z ukochanym dziadkiem. Prosto z pokoju wyszli na nieduży drewniany taras, mieszczący zestaw wypoczynkowy i stolik. Następnie zeszli do ogrodu i zwrócili swoje kroki ku hamakowi. Był on na tyle duży, by pomieścić ich obu. Abraham usiadł na jego brzegu, jak na fotelu i posadził sobie na kolanach wnuczka. Lubili razem przesiadywać popołudniami i gawędzić, lub po prostu podziwiać zachody słońca.

Po chwili milczenia Dawidek zwrócił się cichutkim głosem do Abrahama:

– Dziadku... – zaczął przeciągle malec – opowiedz mi coś. Proszę cię, dziadziusiu...

Abraham nie miał serca odmówić dziecku tej drobnej przyjemności, jaką jest możliwość wysłuchania jego opowieści.

– Dobrze, ale obiecaj mi, że nie będziesz przeszkadzał.

Chłopiec bez wahania zgodził się na postawiony przez dziadka warunek i przyrzekł mu, że będzie grzeczny. Zrobił to jednak w ten jedyny w swoim rodzaju sposób, jaki jest właściwy dzieciom w jego wieku. Mianowicie położył sobie lewą rękę na piersi, a drugą uniósł w geście przyrzeczenia, myląc jednak strony. Abraham miał nie lada problem, by powstrzymać się od śmiechu. Odchrząknął jednak znacząco i zaczął swoją opowieść...

– Chciałbym ci opowiedzieć o miejscu bardzo dla mnie ważnym, które zawsze pozostanie w mej pamięci. Spędziłem tam najpiękniejsze lata mojego beztroskiego dzieciństwa i wczesnej młodości. Choć było to dawno temu, to...gdy zamknę oczy, wciąż ją widzę, wspaniałą i gwarną. Jabłonka Kościelna... O niej chciałbym ci dziś opowiedzieć. Nasza rodzina mieszkała tam od wielu pokoleń. Jej korzenie sięgają średniowiecza, kiedy to pierwsi Żydzi przybyli na te tereny. Teraz jest to tylko niewielka wieś, podobna do wielu innych w tym regionie. Jednak za mojego dzieciństwa, w czasach swojej świetności, była znaczącym miastem, stanowiącym centrum handlu i kultury żydowskiej w okolicy. Jej rangę podkreślał fakt, iż znajdował się tam jedyny w regionie Kever Israel – cmentarz judaistyczny. Żydzi ze wszystkich okolicznych miejscowości byli chowani właśnie tam. Ojciec zawsze mi powtarzał, że powinienem być dumny z tego, że mieszkam w Jabłonce. I byłem – dodał z wyraźną nutą wzruszenia w głosie.

Po chwili milczenia Abraham kontynuował opowieść:

– Jabłonka leży w połowie drogi między dwiema innymi, znacznie większymi, miejscowościami Zambrowem i Wysokiem Mazowieckiem. Za moich czasów mieszkało w niej około 400 osób, z czego prawie 90% stanowili Żydzi. Niegdyś główny zarys Jabłonki stanowiły trzy ulice. Droga prowadząca do Wysokiego Mazowieckiego nazywana była Podlasia, natomiast wiodąca do Zambrowa nosiła miano Moza. Krzyżując się, wydzielały one przestrzeń Rynku, na którym odbywał się handel. Przez miejscowość przepływała niewielka rzeczka, Raczka Jabłoń, od której pochodzi pierwszy człon nazwy wsi. Drugi natomiast wziął się od katolickiego kościoła, stojącego w północnym krańcu Rynku, który był w owych czasach jedynym w okolicy. Trzy centralne ulice wraz z rzeczką tworzyły kształt podobny do wielkiego orła. Było to źródłem lokalnych legend. Dorośli opowiadali dzieciom historię, według której ogromny orzeł zleciał z przestworzy by napić się świeżej, czystej wody. Ten obraz działał na wyobraźnię młodych ludzi, moją także. Uwielbiałem włóczyć się po Jabłonce. Dobrze pamiętam wszystkie szczegóły jej wyglądu. Na skraju wsi stał okazały, drewniany młyn wodny należący do jednej z rodzin żydowskich. Zapewniał on doskonałą mękę dla lokalnego sklepu i wszystkich okolicznych miejscowości. Pamiętam, iż niemałą radość sprawiało nam obserwowanie młyńskiego koła i wszelkie zabawy przy młynie, choć rodzice nie pozwalali nam się do niego zbliżać. Uważali, że to zbyt niebezpieczne. Niedaleko młyna, po drugiej stronie ulicy, znajdowała się rzeźnia starego Szmula.



Miejsce, gdzie stała rzeźnia

W kulturze żydowskiej nawet zabicie zwierzęcia musiało odbyć się według ściśle określonych przez tradycję zasad. Właśnie tym zajmował się rytualny rzeźnik. Stary Szmul dbał o to, by nasze mięso było kosherne. Jest to bardzo ważne dla Żydów. Koszerne pochodzi od hebrajskiego słowa *kaszrut* i oznacza dosłownie: nadający się, stosowny, dobry. Natomiast w mowie potocznej są to zasady odżywiania. Nawet tak pozornie błahą sprawę, jak przygotowanie jedzenia, określały zasady zapisane w Torze. Kaszrut ma trzy główne reguły. Pierwsza dotyczy odpowiedniego przygotowania mięsa: musi być wymoczone w czystej wodzie około pół godziny; następnie wypłukane, odsączone, posypane solą i pozostawione na kolejne 30 minut; na koniec znów opłukane. Druga zasada kaszrut dotyczy tego, co można spożywać. Żydzi mogą jeść mięso zwierząt i ptaków hodowlanych, takich jak: krowy, barany, kozy, kury, kaczki, indyki, gęsi. Nie wolno im natomiast spożywać mięsa wieprzowego, gdyż są to zwierzęta nieczyste. Żydzi mogą jeść również wszelkie ryby, jednak nie powinni gotować potraw z suma, węgorza lub owoców morza. Trzecia reguła koszer nakazuje oddzielanie potraw mięsnych od mlecznych. Należy zachowywać określone odstępy czasu, pomiędzy tymi posiłkami. Na przykład mięso po mleku można jeść już po godzinie, natomiast odwrotnie dopiero po sześciu. Jak widzisz, wbrew pozorom, jedzenie jest bardzo ważnym aspektem życia. Wszystkie zasady koszer są oparte na Torze, zatem są obowiązkiem każdego Żyda. Może wydać ci się to dziwne, jednak ma swój głębszy sens.

Abraham przerwał na chwilę i nieobecnym wzrokiem spoglądał na obleczone w czerwień i pomarańcz zachodzące słońce. Widać było, iż próbuje przywołać z zakamarków pamięci obrazy z dzieciństwa. Dawid, mocno wtulony w dziadka, czekał cierpliwie. Nie odrywając oczu od przepięknego pejzażu Abraham kontynuował swoją historię:

– Teraz opowiem ci o moim domu rodzinnym. W samym centrum Jabłonki, wzdłuż rynku i głównej ulicy stał rząd kilku żydowskich domów. Były zbudowane tak blisko siebie, że stykały się ścianami, tworząc jakby jedną konstrukcję.



Szeregowa zabudowa domów żydowskich w Jabłonce Kościelnej

Był tam wiejski sklepik, w którym można było kupić wszystko, co tylko może być potrzebne rolnikom: od zapalek, poprzez sukno, po różne smakołyki do jedzenia. Obok znajdował się warsztat szewca. Nigdy nie narzekał na brak pracy, toteż wszyscy klienci mieli mu za złe, że nie dotrzymuje terminów.

Stało tam wiele różnych budynków. Jeden z nich był jednak szczególny – mój dom rodzinny. Miał on jedno piętro i poddasze. Od frontu znajdowała się charakterystyczna dla żydowskiej zabudowy facjatka. Miał dosyć stromy dach z czerwonych dachówek w kształcie rybiej łuski. Pomalowany był na spokojny brunatny kolor. Za domem znajdował się mały ogródek. Mieszkalem tam wraz z rodzicami, rodzeństwem i starą babcią Goldą. Moja mama, a twoja prababcia, miała na imię Rywka i zajmowała się głównie domem i wychowywaniem dzieci. W wolnych

chwilach, jak większość Żydówek, trudniła się robótkami ręcznymi, którymi handlowała na lokalnym targu. To ona jednoczyła naszą rodzinę i dawała nam siłę w trudnych chwilach. Mój ojciec, a twój pradziadek, nazywał się Ibrahim i był weterynarzem. Z racji swojego zawodu był osobą bardzo szanowaną w naszej społeczności. Nigdy nie odmówił nikomu pomocy i ludzie to doceniali. Mimo, iż musiał ciężko pracować na nasze utrzymanie, zawsze znalazł czas dla rodziny. Kiedy tylko zakończył swoje obowiązki, przychodził do nas, żeby się z nami pobawić lub uczyć nas. W tamtych czasach w Jabłonce nie było szkoły, więc rodzice sami zajmowali się naszą edukacją. Szczególnym sentymentem darzę babcię Goldę. Siadywaliśmy razem na werandzie i opowiadała mi ciekawe historie, tak jak ja tobie. Nie mogłem doczekać się wieczoru, by znów oglądać z nią zachód słońca i słuchać jej opowieści. Była dla mnie kimś wyjątkowym. Wbrew tradycji żydowskiej nie miałem liczego rodzeństwa. Było nas jedynie troje: ja, mój starszy brat Dawid, po którym nosisz imię oraz nasza najmłodsza siostrzyczka – Chana. Uwielbiałem się z nimi bawić, choć czasem potrafiliśmy się pobić, jak to dzieci. Pamiętam, że z Dawidem chodziliśmy nad rzeczkę łowić ryby. Przesiadywaliśmy wtedy cały ranek na brzegu, wygrzewając się w słońcu i rozmawiając o wszystkim, co interesowało chłopców w naszym wieku. Chana też bardzo chciała chodzić z nami na ryby, jednak my jej nigdy nie zabieraliśmy. Zawsze kończyło się to naganą od mamy i obietnicą, że zabierzemy ją następnym razem. Czasami, wraz z rodzeństwem i innymi dziećmi z sąsiedztwa, chodziliśmy na lekcje do miejscowego rabiego – Judy. Był to ktoś w rodzaju nauczyciela, mędrca, który jest uczony w piśmie. Stanowił autorytet wśród mieszkańców. Gdy ktoś miał problem, rabbi zawsze mu pomógł, pocieszył, dobrze poradził. Dzieci, głównie chłopcy, chodziły do niego na lekcje. Polegały one na nauce naszej historii, tradycji i tłumaczeniu słów Tory.



Tora

Ta święta księga stanowiła podstawę naszego życia, więc obowiązkiem naszym była jej znajomość. W tamtych czasach Erec Israel – państwo Izrael –jeszcze się nie odrodziło. Rabi powtarzał nam, że to Tora jest naszą ojczyzną, naszym domem. Uczył nas szacunku do własnej historii, kultury i tradycji. Było to bardzo ważne w tamtych czasach, gdy żyliśmy w diasporze. To właśnie rabiemu Judzie zawdzięczam to, kim teraz jestem.

Abraham znów przerwał swoją opowieść. Mimo, iż nie dawał po sobie tego poznać, wspomnienia rodzinnych stron były dla niego bardzo trudne i wzruszające. Spojrzał czule na Dawidka i przytulił go mocniej. Zaczął powiewać chłodny wieczorny wiatr. Abraham okrył wnuczka swoim swetrem i kontynuował opowieść: – Pamiętam dobrze swój dom rodzinny. Może nie był okazały i przypominał wiele innych, jednak dla mnie był wyjątkowy. Mimo, iż z zewnątrz nie wydawał się zbyt duży, to jednak wewnątrz był bardzo przestronny.

Był urządzony zgodnie z żydowską tradycją. W kuchni, której okna wychodziły na północ, zgodnie z zasadami koszer, znajdowały się oddzielne miejsca do przygotowywania potraw mięsnych i mlecznych. Pamiętam cudowne zapachy, dochodzące stamtąd, zwłaszcza w przeddzień Szabatu. W salonie, który był jednocześnie jadalnią, znajdował się duży stół dla sześciu osób. Ponadto, na masywnej dębowej komodzie, stała mosiężna menorah.



Menora

Siedmioramienny świecznik jest świadectwem naszej wiary, toteż znajdował się w miejscu widocznym i honorowym. Wszelkie modły były odprawiane właśnie tam, więc salon był zawsze zadbane i czysty. Ze wszystkich świąt szczególnie zapadło mi w pamięć wspólne obchodzenie Szabatu. Był to okres szczególny, uświęcony przez samego Boga dzień odpoczynku. Obowiązek jego obchodzenia został wymieniony w czwartym przykazaniu Bożym. Tora określa zasady świętowania Szabatu w Księdze Wyjścia. Tego dnia każdy szczegół był ważny, gdyż wszystko miało swoje symboliczne znaczenie, którego nie można było pominąć. Szabat jest świętem na cześć Boga Stworzyciela i na cześć Przymierza, które zawarł Bóg z narodem Izraela. W tym dniu trzeba zaniechać wszelkiej pracy. Na podstawie Tory uczeni określili 39 czynności zabronionych, zwanych po hebrajsku melachot. Jest to czas odpoczynku i duchowego odrodzenia. Szabat jest świętem rodzinnym. W tym dniu rodzice i dzieci zbierali się, by wspólnie spożywać uroczysty posiłek, modlić się, śpiewać. Na Szabat kupowano najlepsze i najsmaczniejsze produkty, jakie można było dostać w małym, wiejskim sklepiku. Jednak mama zawsze potrafiła „wyczarować” wspaniałe potrawy, nawet ze zwykłych składników. Podziwialiśmy ją za to. W przygotowaniach do uroczystości braliśmy udział wszyscy, nawet babcia Golda. Była to wspaniała okazja do rozmowy, zacieśnienia więzi rodzinnych. W czasie Szabatu nie można zapalać ognia, toteż wszystkie ciepłe posiłki przygotowywaliśmy już dzień wcześniej. Przed szabatową wieczerzą przykrywaliśmy stół pluszowym obrusem, który był elementem obowiązkowym. Lubilem to robić, gdyż był on bardzo przyjemny w dotyku. Na

obrusie stawialiśmy dwie świece, wino, dwie chałki lub chleby przykryte ozdobną, haftowaną serwetą. Wszystko miało swoje symboliczne znaczenie związane ze słowami Tory. Świece oznaczały sferę sacrum, świętości. Dwie chałki symbolizowały podwójną porcję manny, którą Żydzi otrzymali od Stwórcy, podczas swej wędrówki przez pustynię. Serweta natomiast miała przypominać rosę, która okryła mannę. Szabat rozpoczynał się w piątek wraz z zachodem słońca. By nie przeoczyć tej chwili, na dwadzieścia minut przed zmierzchem zapalano świece. Według tradycji żydowskiej zawsze dokonywała tego kobieta. Pamiętam, z jaką powagą mama podchodziła do swojego obowiązku. Zwyczaj ten jest bowiem jednym z najważniejszych w liturgii judaistycznej. Uroczysta wieczerza rozpoczynała się wspólną modlitwą. Mógł ją odprawić jedynie mężczyzna, toteż ten obowiązek zawsze spadał na tatę. Później następował czas wspólnego spożywania posiłku i śpiewów. Był to okres niezwykle. Wtedy czuliśmy, że jesteśmy jedną kochającą się, rodziną. Niestety, czasem zdarzało się, iż tata musiał pracować. By nie łamać praw Szabatu stosowano tzw. Eruwy, czyli wydzielone miejsca, w których można było wykonywać czynności zakazane. Pozwalało to na wykonanie niezbędnych prac bez popełniania grzechu.

Szabat kończył się w sobotę wraz z zachodem słońca. Wiązało się z tym inne, równie ważne święto – Hawdala. Z hebrajskiego oznacza ono „oddzielenie”, „różnicę”. Było to uroczyste zakończenie Szabatu i jednocześnie rozpoczęcie nowego tygodnia. Był to również most pomiędzy świętym i codziennym. W każdą ostatnią sobotę miesiąca, godzinę po zachodzie słońca, gdy kończył się Szabat, zapalało się hawdalowe świece. Były to dwie cienkie, splecione świeczki, symbolizujące świętość i powszedniość. W specjalnych srebrnych naczyniach, besaminkach, umieszczano zioła, których zapach miał ożywić duszę, smutną po odejściu nieszama jetera – szabatowej duszy. Był to czas powrotu do normalnego życia. Zawsze trudno mi było zapomnieć o Szabacie i wrócić do codziennych obowiązków.

Oczy Abrahama spoglądały nieruchomo w dal, jak gdyby czegoś wypatrywały. Chciał on jednak przypomnieć sobie, wyszukać w zakamarkach pamięci obraz Jabłonki jego dzieciństwa. Po chwili milczenia kontynuował swoją historię:

– Życie na wsi nie było łatwe. Trzeba było ciężko pracować, by utrzymać rodzinę. Przy każdym domu znajdował się ogród, na którym posiane były różne warzywa,

głównie marchew, ziemniaki i inne mało wymagające rośliny. Ponadto wiele rodzin posiadało małe sady, które na jesienią rodziły jabłka, gruszki, śliwki. Prawie każdy miał jedną, bądź kilka krów, kaczki, gęsi, kury. Te małe gospodarstwa stanowiły czasem jedyne źródło utrzymania rodziny, gdyż nie wszyscy mieli dodatkowy zawód. Gdy nadchodziła jesień nastawał czas ciężkiej pracy. W okresie wykoppek, czyli zbioru ziemniaków, jednego ważniejszych zajęć polowych, ludzie pomagali sobie wzajemnie. Kilka rodzin zbierało się i urządziło, tzw. „tłokę”. Polegała ona na tym, że ludzie zbierali się na polu jednej osoby, razem wykonywali wszystkie prace, a następnego dnia szli do kogoś innego. Razem z rodzeństwem i rodzicami także braliśmy w tym udział. Na przykład jednego dnia spotykaliśmy się z jakimiś rodzinami i szliśmy pomóc komuś w wykopkach, a następnym razem to oni pomagali nam. Wszystko opierało się na wzajemnej pomocy. Cała nasza wspólnota była jedną wielką rodziną. Dawało to nam siłę w trudnych chwilach i sprawiało, że czuliśmy się bezpiecznie w Jabłonce. Jesień była okresem przygotowań do zimy, m.in. zabijano wtedy gęsi. Czekano, aż utuczą się one dostatecznie, by móc je w pełni wykorzystać. Smalec był przechowywany w słoikach i wykorzystywany jako składnik wielu tradycyjnych, żydowskich potraw. Pierze, obskubywane przez kobiety, było materiałem na bardzo ciepłe poduszki i kołdry, niezastąpione w długie, zimowe noce. Jesień była okresem ożywienia i pracy.

W Jabłonce nie było, niestety, synagogi. Starsi opowiadali nam jedynie o wspaniałej bożnicy, która została zburzona w czasie pierwszej wojny światowej.



Miejsce, w którym stała bożnica

Mówili również, że stanie w tym miejscu w przyszłości jeszcze wspanialsza synagoga. Jako dzieci wyobrażaliśmy sobie, jak pięknie będzie ona wyglądać, jak wszyscy będą się nią zachwycać.



Z Tahary zostały jedynie resztki podmurówki

Ze starej bożnicy została jedynie Tahara. Było to miejsce, gdzie obmywano ciało zmarłego i przygotowywano je do pochówku. Budynek ten był niezbędny, gdyż bez tego nie można byłoby odprawić pogrzebu. W Jabłonce nie było również Jesziwy – szkoły talmudycznej.



Talmud

Talmud jest to księga zawierająca prawa kanoniczne judaizmu. Obowiązkiem każdego mężczyzny było studiowanie w Jesziwie. Zatem wszyscy chłopcy, którzy osiągnęli odpowiedni wiek, wysyłani byli do szkół w całej Polsce, a nawet na świecie.



Młodzież żydowska z Jabłonki

Musieli rozstać się z rodziną, z ukochaną miejscowością i wyruszyć w drogę. Gdy wracali po wielu latach, byli zupełnie innymi ludźmi. Wykształceni, pełni wzniosłych idei, stanowili elitę intelektualną naszej społeczności. Wszyscy mężczyźni chcieli z nimi porozmawiać, wymienić poglądy, zapytać się o zdanie. W miejscowym szynku, który znajdował się naprzeciw naszego domu, urządzane były zażarte dyskusje, „walki na słowa”.



W tym miejscu stał szynk

Była to jedna z rozrywek, pomagająca odpocząć po ciężkim dniu pracy. Czasem zakradałem się pod okno, by przysłuchiwać się rozmowom dorosłych. Ech..., piękne to były czasy... moje bez troskie dzieciństwo...Później sam wyjechałem do Jesziwy i...- w tym momencie głos uwiązł w gardle Abrahamowi – już nie wróciłem.

Gdy obrócił się do Dawida okazało się, że malec już smacznie śpi. Nic dziwnego – pomyślał – jest już bardzo późno, rozgadałem się trochę. Spojrzał z czułością na śpiącego wnuczka, czuł się szczęśliwy. Wstał delikatnie z hamaka tak, by nie zbudzić dziecka. Otulił je swoim swetrem i ostrożnie wziął na ręce. Jednak Dawid spał tak mocno, iż nawet nie poczuł, że dziadek niesie go do domu. Abraham ostatni raz spojrzał w niebo, teraz już rozgwieżdżone. W jego oczach pojawiła się pojedyncza, ledwie widoczna strużka łez. Wspomnienie Jabłonki, jego rodzinnego domu, było dla niego silnym przeżyciem. Jednak nie żałował. Poczuł, że stracił wielki ciężar leżący mu na sercu. Cieszył się, że mógł opowiedzieć komuś swoją historię, nawet, jeśli tym

kimś był jego sześciolatek. Abraham poprawił sweter, okrywający Dawida i skierował się w stronę domu.